OPIEKUN DOMOWY

Warszawa dnia 14 (26) Czerwca 1867 roku.

Nr 26. | Cena w Warszawie 20 kop. miesięcznie.—Cena na prowincji na stacjach pocztowych 75 kop. kwartalnie. Redakcja i Ekspedycja Główna przy rogu ulicy Leszno i Solnéj pod Nr. 715. | Rok III.

TREŚĆ.—Św. Piotr Apostoł, przez *Franciszka Gumowskiego.*— (z drzeworytem). Typy Warszawskie, IV. Gałganiarka, napisał *Wołody Skiba* (z drzeworytem).—Karczma w lesie, opowiadanie, skreślił *Wołody Skiba*, (ciąg dalszy).—Obrazki z życia ludowego różnych narodów (podług Karola *Schramm*: (II Słowacy) dokończenie.) — Korrespondencja od Redakcji Opiekuna Domowego.—Rozmaitości. Podsłuchane gdzie się zdarzy.—Od Redakcyi.



Święty Piotr w więzieniu, (kopja z obrazu Murilla).

Św. PIOTR APOSTOŁ.

Jeżeli obchodzą nas wiadomości o życiu i czynach ludzi znakomitych nauką, pracą lub wynalazkami, przynoszącymi dobro i pożytek społeczeństwu, to spodziewam się że niemniej ciekawym będzie dla nas życiorys człowieka, który opowiadaniem nauki Chrystusa, przyłożył się jako jeden z najpierwszych do jej rozprzestrzenienia i utrwalenia na świecie, do zniszczenia przesądów bałwochwalstwa, a przez to do

popchnięcia całej ludzkości na drogę prawdy i cywilizacji. S-ty Piotr, przed powołaniem swojem na Księcia Apostołów zwany Symeonem, Galilejczyk, z miasteczka Betsaidy z ziemi Żydowskiej, syn Jana z ubogiego i niskiego stanu, który z łowienia ryb i z ciężkiej pracy się utrzymywał, pochodził z wielce pobożnej i cnotliwej rodziny, dla której cześć Boga i miłość bliźniego były zawsze pierwszym i ostatecznym celem życia. Chrystus już był przyszedł na świat, już opowiadał swoję Boską naukę, a Piotr jeszcze Go nie znał, jeszcze Go nie widział i nie mógł słyszeć tych wzniosłych opowiadań Ewangielicznych, tych nauk, o których cuda rozgłaszano po całej Izraelskiej krainie. Aż pewnego razu Zbawiciel chodząc od miasta do miasta, gdy szedł nad morzem Galilejskiem, ujrzał na wodzie Piotra jak z bratem swoim Jędrzejem zapuszczał sieci, w celu obfitego połowu. Stanął więc niedaleko nich i zawołał:

—Pójdźcie za mną, nauczę was ludzi łowić.

I poszli zaraz za Panem przywiązawszy się do Niego jak dzieci do rodzonego ojca; opuścili dom, chatę, sieci i wszystkie rozkosze światowe, a przystali do Mistrza aby Mu być pomocnymi w świętem dziele zbawienia, nie zważając, że za to czeka ich tylko bieda, prześladowanie —śmierć. Szczególniej Piotr tak się oddał Chrystusowi, tak Go umiłował i ukochał, że stał się Jego najpierwszym uczniem i jakby przyjacielem aż do samego zgonu! A kiedy Judasz na czele drabów napadł na P. Jezusa w ogrodzie Oliwnym, to Piotr w zapale uniesienia dobył z pochew miecza i jednemu sługusowi aż ucho uciął. Trzykrotne zaś zaparcie się Pana, przed prostą służącą w obec licznych Arcykapłana dworzan, zostało mu darowane, ponieważ żałował za to tak bardzo, lał łzy tak gorzkie i bolesne, że Chrystus wzruszony tą skruchą i przejęciem się winy, nie tylko mu ją odpuścił, ale jeszcze wielkiemi obdarzył go łaskami i przywilejami. Jemu bowiem pierwszemu z mężczyzn ukazał się po swem Zmartwychwstaniu, jemu oddał klucze Królestwa Niebieskiego i uczynił go Naczelnikiem Apostołów i całego zgromadzenia Chrześcijan. Jemu przed swem Wniebowstąpieniem kazał paść owce i baranki swoje; na nim zbudował Kościół swój, przyrównawszy go do opoki i obiecawszy być z nim na wieki—aż do skończenia świata.

Ale największa działalność S. Piotra wystąpiła dopiero w całem świetle i majestacie, po chwalebnem wzniesieniu się Chrystusa do Nieba.

Teraz zostawiony sam jako Najwyższy Pasterz i Rządca, począł on ubogi rybak, rozporządzać powierzonem sobie Chrześcjaństwem, począł opowiadać niewiernym też samą naukę, którą od Chrystusa słyszał; zbierał i zwoływał Apostołów na narady, na zgromadzenia; rozsyłał ich po różnych prowincjach w celu rozszerzenia Wiary i wykorzenienia pogaństwa —jednem słowem, z całem poświęceniem się, z całem wylaniem duszy pracował jak mógł nad zbawieniem braci i całego świata, aby tylko prawda tryumfowała nad fałszem, aby Królestwo Boże rozwielmożniło się wśród ludzi. Pierwszem swojem kazaniem nawrócił i ochrzcił trzy tysiące, drugiem pięć tysięcy słuchaczy. Nie było dnia ani godziny, żeby kogoś nie oświecił, żeby nie nauczył wzniosłych prawd Ewangelji; a wielcy i mali, bogaci i ubodzy, równym jego troskliwości byli przedmiotem, tak, że Jerozolima, Antiochja, w ogóle cała prawie Palestyna napełniona była Chrześcijanami; a Syrja, Egipt, Grecja i Włochy, łącząc się węzłami jednej władzy, powoli także przejmować się poczęły nowemi zasadami Chrystusowej Religji. Miał nawet jawnie stolicę w mieście Antiochji, a wszyscy wierni słuchali go jak Naczelnika, i sami nawet równi mu Apostołowie, byli mu posłuszni i gotowi na każde jego skinienie. Nieprzyjaciołom i kapłanom starej wiary to się nie spodobało. Już Św. Szczepan został okrutnie ukamienowany, już i Jakób Św. został strącony z wieży, postanowili więc jakim bądź sposobem zgubić S. Piotra, mniemając, jak mówi Skarga, iż gdy Chrześcjanom na wodzu i głowie zejdzie, lud się, jako po zabitym hetmanie wojsko, rozproszy. Pojmano go tedy na rozkaz króla Heroda, związano dwoma łańcuchami i jakby jakiego złoczyńcę do więzienia wrzucono. A gdy wierni Kościoła Chrystusowego poczęli się trwożyć i lękać o jego życie, posłał Bóg do niego Anioła wybawiciela, który napełniwszy wilgotną ciemnicę nadzwyczajną światłością, zbudził śpiącego między dwoma żołnierzami, rozkuł mu kajdany i wyprowadził na wolność.

Lecz Jerozolima, Palestyna, cała Azja Mniejsza, za szczupłą wydawała się Piotrowi do nawracania i religijnej propagandy, przeto postanowił sztandar nowej nauki, Krzyż Chrystusa, zatknąć w samem centrum bałwochwalczego świata, w ognisku ówczesnej potęgi, nauki, zbytku i rozpusty t. j. w Rzymie. Przybył więc do tego miasta za panowania cesarza Klaudjusza, rozgościł się w niem na dobre, jakby przeczuwając że tu a nie gdzieindziej przystoi tron mu swój zakładać, że tutaj a nie gdzieindziej i jego też stolica być musi. W krótkim bardzo czasie pozyskał sobie mnóstwo zwolenników. Rzymianie przesyceni już zmysłowemi rozkoszami z chęcią garnęli się pod słodkie jarzmo Chrystusowej nauki, a poznawszy niedorzeczność czci bałwochwalczej poczęli gardzić wielobóstwem, cisnąc się około Apostoła głoszącego im jednego Boga, dowodzącego nieśmiertelności duszy i przyszłego życia. Najznakomitsze osoby, nawet dworzanie cesarza, jako też i biedny proletarjat, zostawali Chrześcijanami. Liczba ich coraz więcej wzrastała, a świątynie pogańskie poczęły się wyludniać z dawnych czcicieli i ofiarników; widocznie krzyż brał górę nad wykrętami niecnego fałszu, nad piorunującym Jowiszem i roskoszną Wenerą. Strach padł na kapłanów i wieszczków! Poczęli głosić przed imperatorem i ludem, że jacyś biedni wygnańcy żydowscy, nieznanej dotąd a dziwnej nauczają obywateli wiary; że bogowie są zagniewani na naród; że nieszczęścia okropne grożą całemu państwu i że dla odwrócenia straszliwej nad głowami burzy, potrzeba krwi tych nowatorów, potrzeba krwi Chrześcjan! Prześladowanie się przybliżało.

Pewnego razu w obec licznie zgromadzonych Rzymian, Symon Magus czarnoksiężnik, ulubieniec całej publiczności i przyjaciel cesarza Nerona, począł się wzbijać w powietrze, aby pokazać, że jego nauka jest lepszą od Chrześcijańskiej i że żaden Chrześcijanin takich cudów jak on nie pokaże. Kiedy się już podniósł na znaczną wysokość od ziemi, obecny temu Piotr Apostoł zrobił tylko znak krzyża S. a czarnoksiężnik spada w tej chwili pomiędzy zdumione tłumy i łamie sobie ręce i nogi. Neron zadrżał ze złości i wpadł w taką wściekłość, że postanowił wszystkich wyznawców Chrystusa

wymęczyć i wymordować. W tym celu wysłani siepacze, porwali zaraz Piotra i Pawła, dwóch najgłówniejszych Apostołów i do więzienia wtrącili. A kiedy ani prośby, ani groźby, ani żadne namowy nie mogły ich do bałwochwalstwa nakłonić, skazano ich na śmierć. Nim przecież wyrok ten wypełniono, dręczyli jeszcze tych Świętych mężów najniegodziwiej, a szczególniej Ś. Piotra. Włożono mu kajdany na ręce i na nogi, posadzono go w ciemnym i wilgotnym lochu, morzono głodem, najgrawano się i szydzono z niego jakby z jakiego zbrodniarza, aż nareszcie zamordowano.

Piotr był ukrzyżowany głową ku ziemi, Paweł zaś jako obywatel rzymski—został ścięty.

Franciszek Gumowski.

TYPY WARSZAWSKIE.
IV.
GAŁGANIARKA.



Siedziałem w oknie w dzień jesienny,
A widok nie był bardzo cudny:
Okno patrzyło w śmietnik brudny,
Grobowiec sukni drogocennej,
Co póty blaskiem mody świeci
I stroi kibić pięknej pani,
Dopóki czas jej nie złachmani,
Nie wskaże miejsca w kupie śmieci.
Patrzyłem smutny na śmietnisko,
A w tem z za węgła jak zjawisko
Wyszła obdarta, chuda, stara,
Niby kobieta, niby mara,
Na plecach niosła kosz podarty,
Trzymała w ręce suchej, zwartej,
Haczyk — narzędzie niezbyt duże,
Niby śmierć kosę w miniaturze.
Przyszła na śmietnik i zgarbiona
Zaczęła grzebać.... Łup schwytany
Rzucała w koszyk za ramiona,
A miały nędzne jej łachmany
Tę samą barwę, jaką miała
Ta kupa szczątków w której stała....
I była sama jako szczątek
Jakiejś przeszłości zagadkowej;
Czas zdarł ostatni włos z jej głowy,
Wargi mieściły bursztynowy
Po białych zębach rząd pamiątek,
A na policzkach plamy sine
Zdały się pisać straszne dzieje:
Czem to jest młodość — gdy zmarnieje,
Piękność,—gdy zmieni się w ruinę:...
Nie mogłem patrzeć....

Na stoliku
Leżał papieru arkusz mały,
A prążki na nim wskazywały
W jakim trza myśli stawiać szyku.
Wziąłem go w rękę piórem zbrojną,
Pragnąc rozpocząć pracę nową
I myśl goniłem niespokojną,
Aby jej pierwsze złapać słowo,
W tem — może oczy mnie złudziły,
Pisałem bowiem przez noc całą
I coś mi ciągle w nich migało, —
Prążki się nagle przemieniły
W słów rzędy....
Oto co w nich stało:

,,Nim tem zostałem czem dziś jestem,
Miałem ja przeszłość inną wcale....
Połyskiwałem tak wspaniale
Jak szkło zwierciadeł, a szelestem,
Gdy mnie kto w rękę ujął czasem,
Mówiłem zaraz, żem atłasem.
Czem przedtem byłem niezbyt pomnę,
Choć mi nieobcą jest wieść taka:
Że pochodzenie moje skromne,
Że mnie wysnuła pierś robaka,
Dosyć że Lugdun mnie z warsztatu
Już jak atłas oddał światu,
I że przebyłem drogi kawał
Nim się dostałem do Warszawy....
Każdy mi tu pochwały dawał,
Panny mnie chciały do wyprawy;
Żony suszyły mężom głowy,
By zemnie sprawił strój balowy.
Targ o mnie codzień szedł uporny,
Kupiec się drożył i mógł śmiało
O sztukę taką okazałą,
O towar gładki i wytworny.
Więc też leżałem przez rok prawie...

,,A było pod on czas w Warszawie
Dziewczątko, które Kasią zwano:
Młodość piękności krasą strojna,
Dola uboga lecz spokojna,
To było mienie jej i wiano.
Oczy bo miała jak turkusy,
Usta bo miała jak korale,
Tamte patrzyły jak pokusy,
Z tych gładkich słówek biegły fale.
Wszyscy kochali ją dokoła,
Ale najbardziej kochał Janek....
Cóż z tego, kiedy ten kochanek
Oprócz dwóch rąk nic nie miał zgoła!...
Dwie ręce silne jest to mienie,
Nad nie większego w świecie nie ma.
Choć wszystko zmiotą w proch płomienie,
Zatopi woda, zmrozi zima,
Wojna wyniszczy, stłuką grady—
Jeszcze to będzie cios zbyt mały,
Jeszcze wszystkiemu człek da rady,
Kiedy dwie ręce mu zostały.
Tak mówił Janek, ale ona
Nie chciała wierzyć w jego słowo,
Chciała mieć suknią atłasową
I drogim szalem kryć ramiona.
Bała się, by jej nie dotknęła
W pożyciu z Jankiem twarda nędza,
I tak się stało jak pragnęła:
Ramiona szalem obwinęła,

Na siebie strój z atłasu wzięła;
Dał jej to pan... lecz dał bez księdza.

,,Wtedym się dostał w jej usługi,
A ze mną mojej nowej pani
Dostały się karety, cugi,
Lokaje, młodsze i furmani;
Ptasiego mleka brakło dla niej.

,,Upływał szybko rok za rokiem
Na niezmierzonej czasu fali,
Blask jej ócz modrych krył się mrokiem,
Czas ścierał barwę z ust korali,
Rumieniec z twarzy nikł uroczy,
Rzedniały włosy wśród warkoczy...
Panicz porzucił ją niedługo,
Jak kochał ją, pokochał drugą.
Kasia zepsuta w dobrym bycie
Coraz nędzniejsze wiodła życie,
I nieraz w nocy, nieraz rankiem,
Albo w dzień biały, albo mrokiem,
Mówiła z zaszłem łzami okiem:
,,Oj nie tak by to było z Jankiem!"

,,Służba ma u niej długą była,
Lecz wiecznie służyć było trudno,
Straciłem połysk, barwę cudną,
Stałem się wreszcie ścierką brudną,
Aż raz na śmietnik mnie rzuciła.

,,Czym długo leżał w kupie śmieci?
Nie wiem... Lecz czas tak prędko leci!....
Może to były całe lata,
Może to były lat dziesiątki,
Dość że świetności mojej szczątki
Miały zupełnie zgnić dla świata.
Gdy raz, nie mało zadziwiony
Patrzę, przychodzi moja pani,
W ręku ma haczyk zakrzywiony,
Kosz odrapany widać z za niej,
Jej twarz tak niegdyś piękna, świeża,
Stała się maską nieprzyjemną,
W jej uszach głucho, w oczach ciemno....
Taką stanęła znów przedemną,
I mnie... kawałek starej szmaty,
Rzucony z wzgardą w śmieć przed laty,
Podnieść zmusiła ją potrzeba,
By grosz zarobić na kęs chleba!...

,,Od niej poszedłem do papierni
I powstał ze mnie papier biały;
Nim pióro twoje go zaczerni,
Dowiedz się mej historji całej,
Którą ci skreślam tu najwierniej.
I spojrzyj w okno na mą panią,
I rozważ żywot jej ciekawy:
Wprzód rój kochanków wlókł się za nią,
Dziś szuka w śmieciach kęsa strawy!. .
A kiedy zaczniesz pisać znowu,
To nie zapomniej tej przestrogi:
,,Dziewczęta, wierzcie memu słowu,
,,Dwie są przed wami w życiu drogi:
,,Ta w prawo, ta się w lewo zwraca,
,,Cnota lub hańba je wytyka,
,,Prawą jest droga tam gdzie praca,
,,Lewą jest droga—do śmietnika!"

Wołody Skiba.

KARCZMA W LESIE.

OPOWIADANIE

(Ciąg dalszy—patrz Nr. 25).

— Znasz tego chłopaka? — pytał go ojciec.

— Nie.

— A ty, — rzekł zwracając się do mnie i wskazując swojego chłopca, — co na to powiesz?.... Czy ty może jesteś ten Walek.

— Nie, — wyjąknąłem nieśmiało.

— A no, jakiś ty Walek, i jakiego kowala, i z jakiej Wólki?

Niewiedziałem co odpowiedzieć: u jednego kowala nie mogło być przecież dwóch Walków, zdawało mi się to jasnem; w jednej Wólce nie mogło być dwóch kowali, było to dla mnie jeszcze jaśniejszem: a dwóch Wólek nie mogło być na świecie, to ostatnie wydało mi się najjaśniejszem ze wszystkiego. Dziwiłem się nawet, że była jedną, kiedy to ja ją wymyśliłem.

Oniemiałem.

— Walek! — zawołał prawdziwy kowal na swego syna.

— A co, tatulu?—spytał prawdziwy Walek.

Byłem przez czas mojej wędrówki tak przyzwyczajony do nazywania się Walkiem, że i ja także równocześnie odpowiedziałem:

— A co?...

— Wyrzuć tego włóczęgę—rozkazywał daléj kowal z Wólki synowi, — tego przybłędę co powiada, że on jest moim synem a nie ty.

Prawdziwy Walek schwycił mnie za kark i wypchnął za drzwi.

Zacząłem uciekać co sił starczyło. Psy kowala puściły się zamną i szarpały moje odzienie.

Przepędziłem tę noc pod gołem niebem, głodniusieńki. Mróz zdawał mi się okropny. Jak się stało że tej nocy nie zmarzłem, nie pojmuję.

Nazajutrz szedłem dalej.

Trwało tak nie wiem dobrze ile, lecz najmniej kilkanaście dni. Różne wioski spotykałem po drogach, różne trafiały mi się przygody, prócz wiosek przechodziłem przez parę nędznych mieścin, lecz nie zatrzymałem się nigdzie,—wszędzie wiedziano, że wilk wygląda jak pies i nigdy się nie zdarzyło, żebym przez trzy dni z rzędu nie zobaczył lasu.

Nareszcie jednego dnia nowy widok ukazał się moim oczom. Nie była to już wieś ani miasteczko, było to coś czego nie rozumiem, coś co mi się pomieścić nie mogło nietylko w głowie, ale nawet w oczach.

Całą połowę widnokręgu, jaką jednem objąć mogłem spojrzeniem, zajmowało jakieś niezrównanie ogromne zbiorowisko domów, ale domów nie takich jakie widywałem po drodze. Zdaleka już osądzić mogłem, że w niejednym z nich, kościół mego rodzinnego miasteczka mógłby się wygodnie pómieścić. Z pomiędzy niezliczonego mnóstwa tych domów, strzelały w niebo rozmaitego kształtu wieże po dwie lub po jednej, a tak wysokie, że pojąć nie mogłem jak się obłoki o nie nie rozedrą. Naliczyłem tych wież kilkanaście, domy także liczyć zacząłem, ale mi prędko liczb zabrakło.

Zachodziłem w głowę, myśląc ktoby mógł mieszkać w takich ogromnych domach i co mogą znaczyć te wieże.

— Wieże naturalnie—myślałem—nie mogą należeć do kościołów, bo gdzież kto słyszał, żeby by-

ło tyle kościołów tak blisko siebie?... a w domach muszą mieszkać wielkoludy.... najniezawodniej wielkoludy. Ludzie zwyczajni nie mogliby takich domów wystawić, a wreszcie po co by je stawiali?... Choćby stół na stole i na tym stole jeszcze stołek postawić, żadenby ręką do pułapu nie dosięgnął!... Przyszedłem tedy do królestwa wielkoludów!... Wystawić sobie, zkąd mi na to przyszło!... Ani myślałem, że te moje podarte chodaki to są siedmio-milowe buty.

Spojrzałem z poszanowaniem na krypcie, które mi mało z nóg nie spadały.

Na tak dowcipne tłómaczenie przedstawiającego mi się widoku, naprowadziło mnie przypomnienie bajki, którą mi jeszcze matka moja opowiadała o królestwie wielkoludów, do którego tylko w siedmio-milowych butach dojść było można, ale za to kto tam doszedł a sprawiał się dobrze, mógł zostać mężem zaklętej królewny.

Wyznaję, że nie chęć ożenienia się z zaklętą królewną pierwsza mi się nasunęła, lecz myśl prawdziwie przerażająca zajęła mój umysł.

— Królestwo wielkoludów — mówiłem sobie, jeśli tutaj ludzie tacy ogromni, jakież to tu wilki być muszą!... Wilczyca zwyczajna mogłaby mnie zjeść, a cóż dopiero wielko-wilczyca?... połknęłaby mnie jak ślinkę!...

Zrazu wzięła mnie ochota cofnąć się i zmykać jak najdalej od królestwa wielkoludów. Przy siedmiomilowych butach nie zdawało mi się to trudnem. Ale wkrótce przyszło mi na myśl, że królestwo wielkoludów nie wygląda jakoś na las, a więc w niem może nie być wilków.

— Jeżeli nie ma — myślałem,to pójdę tam, będę się sprawował dobrze, strachów żadnych się nie zlęknę bo to nie wilki i z zaklętą królewną się ożenię.

Wkrótce potem spotkałem niewiele młodszą odemnie dziewczynę.

— A widziałaś ty wilka?—rzekłem do niej.

— Wilka?... odpowiedziała—jakiego wilka?... nie widziałam.

— A wiesz jak wygląda?...—pytałem dalej.

—Wilk?...—odrzekła, mówię żem nie widziała, nie wiem jak wygląda.

Pomimo zmęczenia podskoczyłem z radości i zdecydowałem się ostatecznie całą szybkością siedmiomilowych butów pędzić do królestwa wielkoludów, aby w niem zostać na zawsze.

Długoby potrzeba było gadać, żeby opowiedzieć te wszystkie myśli, jakie mi się przesunęły przez głowę nim się dowiedziałem nareszcie, że to co miałem za krainę olbrzymów było tylko miastem Warszawą, którego nazwisko nieraz w domu słyszałem i które sobie wyobrażałem kubek w kubek podobnem do mojego rodzinnego miasteczka.

Na tej wiadomości straciło moje obuwie, bo je przestałem uważać za siedmio-milowe buty, ale Warszawa nic nie straciła, podziwiałem ją tak jakby była w istocie państwem wielkołudów i choć się przekonałem że ją zamieszkują ludzie zwykłego wzrostu, nie przestawałem się zdumiewać zkąd się tych ludzi bierze aż tyle, jak drzew w lesie koło naszej karczmy, a wszyscy tak po pańsku poubierani, ani jednego takiego jak na wsi.

Z początku zdejmowałem czapkę przed każdym kogo spotkałem, ale wkrótce zabolała mnie ręka, tak często musiałem to powtarzać. Uznałem więc za dogodniejsze iść z gołą głową i nieść czapkę w ręku.

Chodziłem tak godzin kilka z otwartą gębą, dziwiąc się wszystkiemu. Zapomniałem o głodzie i zmęczeniu. Byłem szczęśliwy, byłem w miejscu, w którem wilków nie znano, sądziłem że nie potrzebuję o nic się troszczyć.

Dopiero koło wieczora przypomniałem sobie o jedzeniu i o potrzebie spoczynku i zacząłem się niepomału kłopotać, do któregoby domu udać się po jedno i drugie. Na wsi było mi jakoś śmielej, wchodziłem do ludzi takich jak ja, ale w mieście gdzie sami panowie w takich wielkich domach mieszkają, nie wiem czemu straciłem śmiałość i nie wiedziałem gdzie się obrócić.

Znużenie przemogło mnie nareszcie i powiedziałem sobie:

— Niech co chce będzie, zawsze to nie wilczyca; przeżegnam się i do pierwszych drzwi jakie zobaczę wejdę.

Pierwsze co mi się nasunęły nie były drzwi, ale brama. Wszedłem więc w bramę. W bramie znajdowały się drzwi, wziąłem za klamkę, były zamknięte. Poszedłem więc dalej, zobaczyłem schody, udałem się niemi, na pierwszem piętrze znów próbowałem klamek, wszędzie było zamknięte. Dziwiło mnie ogromnie, że się tak ludzie zamykają. Poszedłem na drugie piętro i tam dopiero znalazłem jedne drzwi, który się otworzyły za ruszeniem klamki.

Wszedłem z bijącem sercem i w progu zacząłem mówić:

— Proszę wielmożnych państwa o kawałek chleba i nocleg.

Nie usłyszałem żadnej odpowiedzi, zacząłem się więc rozglądać po pokoju w którym się znajdowałem. Było w nim oprócz drzwi któremi wszedłem, dwoje jeszcze innych. Sprzętów znajdowało się niewiele. Kilka tylko kszeseł jakich jeszcze nigdzie nie widziałem, stolik i jakiś dziwny drąg, który zwrócił uwagę moją, nie mogłem bowiem zrozumieć jego przeznaczenia. Były do niego dorobione ozdobne nóżki żeby mógł stać, a u góry rozchodziły się w kierunku poziomym cztery ramiona ułożone na krzyż. Przypomniało mi to drogoskaz, jeden z takich jakie często spotykałem w mojej wędrówce, lecz z których nieumiejąc czytać, korzystać nie mogłem, tylko zwykle kierowałem się w stronę tego ramienia, które oddalało od lasu.

Tak samo też zrobiłem tutaj. Poszedłem w kierunku jednego z ramion mniemanego drogoskazu i otworzywszy drugie drzwi, powtórzyłem:

— Proszę wielmożnych państwa o kawałek chleba i o nocleg.

Lecz i tu panowało milczenie, zacząłem się więc znowu rozglądać i mimowolnie przypomniała mi się bajka o wielkoludach, wędrującym królewiczu i zaklętej królewnie. Coś mi mówiło że wszedłem do zaczarowanego pałacu, w którym wszystko znaleść było można oprócz ludzi, ale w którem mimo to bardzo się dobrze wędrującemu królewiczowi powodziło.

Nigdy jeszcze nie widziałem takich sprzętów, jakie tam widziałem. Krzesła były wyścielane taką materją z jakiéj u nas w miasteczku ksiądz miał ornat, w którym tylko w Zielone Świątki nabożeństwo odprawiał. Stoły były z takiego drzewa co się świeciło niby lustro, a lustra większe jak ja. Na ścianie

wisiał zegar w oprawie złotej, a ściany całe malowane były tak ładnie jak antypedja u ołtarzy. Można zrozumieć, jakie to wszystko zrobiło na mnie wrażenie.

Przez jedne drzwi jakie się znajdowały w tym salonie przeszedłem do następnego pokoju, gdzie również wszystko co zobaczyłem było dla mnie nowe i obce. Na jednym stoliku leżały tam porozrzucane pieniądze, skarb o jakim nie miałem wyobrażenia. I ruble i papierki i takie dukaty, jaki jeden raz tylko jako ciekawość u nas w karczmie pokazywali.

Nie myślałem brać tych pieniędzy, chociaż w drodze nauczyłem się najlepiej, jaką to grosz ma wartość.

— Po co mam brać? — mówiłem sobie, przecież to wszystko z całym tym pałacem i tak niedługo będzie moje. Juściż kiedym tu wszedł, i kiedy mnie nic złego nie spotyka, to niezawodnie wkrótce zobaczę zaklętą królewnę. Teraz zaś niema co bałamucić, trzeba iść dalej, bo jak matka mówiła, zaczarowany pałac nie jest mały. Trzeba kilka tygodni, żeby obejść wszystkie pokoje.

Otworzyłem więc nowe drzwi i stanąłem w progu zdumiony.

Zaklęta królewna znajdowała się przedemną o kilka kroków. Przy zmierzchu który zapadać zaczynał, blado i niewyraźnie rysowała się jej postać, mogłem jednak poznać łatwo, że była piękniejszą od wszelkiej kobiety jaką kiedykolwiek w życiu widziałem. Strój jej długi, wązki lecz posągowo uroczysty, takijakiego nigdzie nie widziałem ani na wsi ani w Warszawie, odsłaniający daleko więcej ciała niż go nawet wiejskie dziewczęta przy praniu odsłaniać mają w zwyczaju, dodawał jej w mojem pojęciu nieskończonego uroku.

Patrzyłem jej w oczy, zdawało mi się że się uśmiecha do mnie, nieruchoma i milcząca.

Niewiele myśląc, jak mój królewicz z bajki, upadłem przed nią na kolana.

— Zaklęta królewno!—zawołałem, wiem że straszliwy czarnoksiężnik trzyma cię w tym zaczarowanym pałacu, lecz nic się nie bój zaklęta królewno, ja cię z rąk jego wyswobodzę.

Byłem pewny, że królewna przemówi do mnie łaskawie i zostawiłem jej czas na to. Tymczasem zamiast odpowiedzi uśmiechniętego bóstwa, które miałem przed oczyma, usłyszałem po za sobą śmiech głośny. *(Dalszy ciąg nastąpi).*

OBRAZKI Z ŻYCIA LUDOWEGO RÓŻNYCH NARODÓW

(podług Karola Schramm)

SŁOWACY.

(Dokończenie, patrz N-r 23).

Z rolników rzadko kto opuszcza ognisko domowe, chyba gdy rodzina jest liczna i nie może się utrzymywać z posiadanej roli.

U pasterzy już częściej członkowie rodziny stają się rzemieślnikami, idąc w świat na długie lata, zkąd dopiero wracają gdy uzbierali coś na zakupienie kilku sztuk bydła. Rodziny pasterskie żywią się głównie serwatką, kartoflami i owocami leśnemi, a mięso, chleb, wódka, tytoń są dla nich nieznanemi prawie przedmiotami zbytku, nawet i sera nie pozwalają sobie, choć go sami wyrabiają dla właścicieli bydła, które pasą.

Tym obowiązani są z każdej sztuki oddać na jesień po 6 do 10 funtów sera, reszta pozostaje dla pasterzy. Wybierają się pasterze z swemi rodzinami w góry, do miejsc obfitujących w dobrą paszę, nieraz znajdują już gotowe chaty zwane szałasami, zbite z desek i nieociosanych belek, które urządzają na mieszkanie dla siebie.

Podobnież dla bydła robią stajnie, nazwane kolibi (kołyski), które wcale nie są tem co u nas kolebka dla dzieci, tam bowiem dzieci tego sprzętu wcale nie mają, bo ramiona matki są ich kolebką?

Rolnicy stanowią wyższy stan, mają oni chaty trwałe z kominami i izbami, ozdobione różnemi rzeźbionemi meblami, posiadają rozmaite sprzęty rolnicze, gospodarskie i kuchenne, wszystko to własnej roboty. Żywność ich jest lepszą daleko jak pasterzy, bo składa się z jaj, mąki, jarzyn, a w święta nawet z mięsa; starczy im niekiedy i na zbytki jakiemi są wódka i tytoń, zbywające im zaś płody rolnicze, tudzież wyroby drewniane i wełniane, wożą na sprzedaż tratwami na rzekach Waadze i Popradzie.

W dawniejszych czasach Słowacy z niedostępnych swoich skał często rzucali się na mieszkających w nizinach Madżyarów, którzy zburzywszy w IX-tym wieku państwo Awaro-Bulgarskie i Słowaków wraz z innymi mieszkańcami ujarzmili. Jak pieśni ich opiewają, szanowali zawsze życie ludzkie ile razy ich własne nie było zagrożonem, uprowadzali tylko nieprzyjacielowi bydło i żywność.

Gdy zaś Madżyary przeciwnie na życie Sławaków godzili, to weszło u nich w zwyczaj nie wychodzić nigdy bez swojej broni: długiego toporu Walaską zwanego, który do dziś nie zarzucili.

Walaska jest niebezpieczną bronią tak w rzucie jak i w cięciu; robią nią tak zręcznie jak Indjanin swoim Tomahawkiem i używają jej także na obronę od napaści niedźwiedzi i wilków.

Pomimo posiadania tak strasznej broni, Słowacy są ludem spokojnym, łagodnym i owszem unikają pokornie każdego napastnika i odznaczają się duchem ustępstwa i cierpliwością, i już są wdzięczni za to, gdy im bez przeszkody pozwalają zarabiać na skąpy kawałek chleba, drutowaniem naczyń i sprzedażą swoich wyrobów drewnianych.

Wszakże Słowak, w krajach niegościnnych w ostateczności tylko i głodem przyciśniony, wyciąga rękę po kawałek spleśniałego chleba i z podziwieniem spogląda na dawcę ofiarującego mu jakąś drobną monetę; u nas zepsuty współczuciem, posyła swe dzieci na żebraninę, które natrętnie się domagają od nas datków na publicznych ulicach.

Słowak zachwyca się swoim językiem ojczystym, swojemi pieśniami narodowemi, których treścią są bitwy i zwycięztwa, miłość i religja.

Słowacy choć rzadko który z nich coś więcej się uczył jak drutować, nietylko są pojętni, ale i chciwi wiedzy.

Podróżujący w tamtych stronach autor, z którego zarysy te są wzięte, następujące podaje podanie o jednym młodym Słowaku, z którym zawarł znajomość na drodze publicznej. „Pochwalu Pan Jezu Christu" pozdrowił mnie młody Słowak, mówi nasz turysta, prosiłem go, aby mi towarzyszył w pierszej wędrówce mojej i wkrótce doskonaleśmy się zrozumieć mogli, bo z wyjątkiem miękkiego dyalektu, język Słowacki mało się różni od Czeskiego. Opowiadał mi że mieszka w górach, że ojciec jego Jurschu Zluczasz *ma szczęście* być robotnikiem w warzelni potażu niedaleko Holicza i że Starupan [1])

[1]) Najwyższy to tytuł w narzeczu Słowaków dla uczczenia kogoś, używany przez nich w modlitwach do Boga.

właściciel fabryki za pracę 12 godzinną dziennie, płaci mu 18 grajcarów (po dwa grosze),—jest to norma najmu płacy robotników słowackich zstępujących z gór swoich do nizin dla szukania zajęcia.

Mając zabawić czas niejakiś w tamtych stronach, umówiłem się z moim towarzyszem podróży, że się schodzić często będziemy nad brzegami Morawy, gdzie spełniając jego życzenie zamierzyłem nauczyć go czytać i pisać. Jakoż po niedługim czasie mój uczeń znaczne uczynił postępy. Podczas lekcji naszych, opowiadałem mu historją jego narodu o ile mi znaną była; on zaś uzupełnił moje wiadomości w tym przedmiocie i wzbogacił je jeszcze różnemi legendami, przywiązanemi do pewnych miejscowości.

Gdy mu mówiłem o Sarmatach, dawnych mieszkańcach tej okolicy, i że mylnie dziś jeszcze Słowaków nazywają Sarmatami, opowiadał mi o jaskini „Czerna Hola” gdzie kości Sarmat, ludi Karpi i Bartarnaji razem spoczywały.

Zaciekawiony wiadomością o tej jaskini, skłoniłem mego towarzysza do niezwłocznego jej odwiedzenia i dnia następnego już z brzaskiem dziennym ruszyliśmy przez Trenczyn i Teplice (tak zwane dla tego że *ciepłe* zdroje tam wytryskują), a piątego dnia doszliśmy do wsi w której rodzina mego przewodnika mieszkała w chwili właśnie, kiedy się nam okazał orszak pogrzebowy, oddający ostatnią posługę nieboszczykowi. Przyłączyliśmy się do niego i uderzony zostałem niezwykłemi u nas obrzędami pogrzebowemi. Orszak śpiewał pieśni żałobne, kobiety w włosach miały zatknięte gałązki rozmarynu, to jest ostatni dar który nieboszczykowi do grobu ofiarują. Przybywszy na miejsce wiecznego spoczynku, mężczyzni i kobiety otoczyli trumnę, a stara kobieta wdowa po nieboszczyku przystąpiła do ciała, przyklęknęła i wśród płaczu i łkania śpiewnym głosem wołała: „mój kochany mężu, mój dobry mężu, mój złoty panie!” ale nie mogła dokończyć swej mowy i prosiła obok stojącą kobietę, aby ta ją wyręczyła w obowiązku pożegnania męża. Ta przystąpiła do trumny, uklękła i głosem stentorowym, przerywanym często łkaniem, śpiewała następującą elegją:

Ojczulku dobry i miły,
Czy ci się dzieci sprzykrzyły,
Że nas opuszczasz? Twa strzecha
I dziś się tobie uśmiecha;
I żona twa gospodarna,
Dziatki ci miłe i hoże,
Masz dosyć chleba i ziarna,
Dwie krowy białe w oborze,
Jest twój koń dziarski, psy, ule—
Ty wszystko rzucasz nieczule!
Ach! wszakże wszyscy ci mili
Łzami się będą skarżyli!
Bo jak winorośl o wiośnie,
Gdy w bujny wieniec wyrośnie
I wszystkie płonki, konary,
Zgarnie na luby szczep stary,
Tak my, sąsiedzi i żona
Do ciebie garniem ramiona.
I masz to wszystko zostawić?
Już niechcesz naszych kościołów —
Ty widzieć chcesz Apostołów,
Chrystusa widzieć i sławić.

Ach to już ojcze nasz miły,
Módl się, gdy nic ci nie trzeba,
Byśmy, gdy stracim swe siły
I my trafili do Nieba.

Po odśpiewaniu tych strofek dziewice rzuciły gałązki rozmarynowe na trumnę, a mężczyzni spuścili ją do grobu i wśród podobnych śpiewów w tym samym porządku jak przyszli, wrócili do wsi.

Ja zaś z moim przewodnikiem po krótkim odpoczynku u jego rodziny, udaliśmy się w drogę ku „Czarnej Holi.” *D. N.*

KORRESPONDENCJA OD REDAKCJI
Opiekuna Domowego.



— *Panu czy pani z trzema gwiazdkami*, co dostarczył do Redakcji *Opiekuna* artykuł napisany *po francuzku* oświadczamy, że z francuzkich jego chęci i artykułu korzystać nie będziemy, gdyż nadsyłającemu znanem być winno, iż *Opiekun* wychodzi w języku polskim dla ludu polskiego, a nie dla tych co wstydząc się rodzinnego języka, paplą obcym.

— Na list z *nad Narwi*, po zainformowaniu się u osób kompetentnych odpowiadamy: że osoba która ukończyła całkowity kurs nauk uniwersyteckich i mająca na to dowód z odbytych rocznych egzaminów, jako też z tematu zadanego jej do rozprawy na stopień magistrowski, a niemająca *patentu*, może być uważaną *prywatnie* że uniwersytet skończyła, ale nigdy *urzędownie*.

ROZMAITOŚCI.

— **Igła i pióro** są zatrudnieniami dwojga młodych ludzi, opisywanych w powiastce pod tymże samym tytułem, niedawno wyszłej, a napisanej przez Władysława S, tego samego co w Opiekunie drukował powiastkę: *Dziwni ludzie*. Igłą pracuje biedna szwaczka, bardzo młoda i urodziwa, a mieszkająca wraz z babką na piątem piętrze w domu położonym w Rynku Starego Miasta; piórem zaś zarabia także biedny kopista zamieszkały w tymże samym domu co i owa szwaczka, z tą różnicą że na czwartym piętrze, ale za to nie w izbie tylko w komórce. Kopista czyli przepisywacz chcąc zostać urzędnikiem, a tem samem polepszyć sobie los, dostaje się w ręce jakiegoś spekulanta referenta i pracuje dla niego jak wół w tej nadziei, że pan referent swoim wpływem wyrobi przyjęcie jego na aplikanta. Szwaczka zaś chcąc także sobie polepszyć los przez dostanie się do magazynu, wpada w pazury jakiejś niby litościwej dobrodziejki, wynajdującej miejsca dla dobrych i pracowitych dziewcząt, a która w istocie pod pozorem prób, każe tym dziewczętom pracować darmo dla siebie. Oto bohaterzy powieści, którym następnie braknie roboty, poznają się, czytają książki, kochają się w sobie, pomagają sobie wzajemnie w tajemnicy, i w końcu odkrywszy spadek po jakimś bezdzietnym zmarłym wuju, żenią sie i na tem kończą powiastkę. Ciekawa rzecz jak też autor skończyłby powiastkę, gdyby się spadek nie znalazł.

— **Zegar na wystawie Paryzkiej.** Na wielkiej wystawie Paryzkiej, między innemi arcydziełami, powszechną zajmuje uwagę zegar stołowy, wykonany przez jednego z belgijskich zegarmistrzy z Verviers. Arcy-kunsztowny ten zegar przedstawia dom, który niegdyś zamieszkiwał Napoleon I na wyspie Elbie. Cyferblat umieszczony jest na frontonie domu. U szczytu znajduje się wieża, oparta na sześciu filarach, nad którą spoczywa orzeł francuzki. Podstawa zegaru wyobraża wyspę Elbę, ruchome morze i ląd stały. Na morzu płynie sześć fregat. Dom Cesarski

otoczony jest parkiem angielskim, pośród którego znajduje się bijący wodotrysk. Orzeł wskazuje godziny, a w danej chwili przełamując pęk broni, bierze w dziób miecz i wybija nim na armacie każdą godzinę, poczem znowu oręż swój chowa. Skoro *pierwsza* godzina uderzy, ukazuje się Napoleon I z głębi domu swojego w otoczeniu wiernych sobie osób. Natenczas występuje warta i broń przed nim prezentuje. Cesarz przechodzi przez park, a następnie wstępuje na wieżę by obserwować, czy na morzu niewidać nieprzyjaciela i czy bezpiecznie będzie mógł udać się na okręt z wierną sobie drużyną. Z uderzeniem *drugiej* godziny, można widzieć Napoleona wsiadającego na fregatę, która płynie po wodzie naturalnej, naśladującej doskonale morze, za pomocą małego hydraulicznego przyrządu. O *trzeciej* godzinie, ukazuje się Napoleon I. na białym swym koniu i na stałym lądzie odbywa się przegląd wojska przed zatoczonemi działami.

— **Szkło** jest ciałem przezroczystem, powstającem ze stopienia kwarcu lub piasku kwarcowego, wapna palonego, potażu, sody, soli glauberskiej, boraksu, minji, braunstejnu, kwasu arsenowego i saletry. Wynalazek szkła ginie w pomroce wieków. Podług podań mieli je wynaleźć kupcy fenicejscy przypadkowym sposobem, najprawdopodobniej jednak wynalazek ten został dokonany w Egipcie, tu bowiem fabrykacja szkła wysoko się rozwinęła i ztąd przeszła do innych ludów Wschodu. Dowodzą tego różne ozdoby szklane w starożytnych grobach egipskich znajdowane. O naczyniach szklanych wzmiankuje już Pismo Święte. Z Azji sposób wyrabiania szkła przeszedł do Grecji i Rzymu, a ztamtąd upowszechnił się w całej Europie. W wiekach średnich najlepsze szkło wyrabiały Włochy, a później Czechy. Obecnie na Wystawie powszechnej ogólne budzą zajęcie szklane wyroby francuzkie. W Królestwie Polskiem znajduje się 31 fabryk szkła, w których pracuje 1,014 robotników, roczna zaś wartość produkcji wynosi 338,355 rs. Ze wszystkich tych fabryk najlepiej urządzoną jest braci Hordliczków w osadzie Czechy, którą szczegółowo opisał pan Adam Wiślicki naprzód w piśmie swojem „Przegląd Tygodniowy”, następnie w oddzielnej książeczce, do której ciekawych odsyłamy.



Ś-ty Piotr, jako pierwszy książe kościoła. (Drzeworyt Paryzki).

PODSŁUCHANE GDZIE SIĘ ZDARZY.

(*W małem miasteczku — w alkierzu*).

STARSZY BRAT. Gdzież tak świątecznie stroisz się o tej porze?

MŁODSZY. Niech się dzieje wola Boska! idę do panny Marjanny, oświadczam się.

STARSZY. Cóż tak nagłego? na przednówku? czy boisz się, by cię kto nie ubiegł?

MŁODSZY. Nie, o tem nie ma co mówić, poczciwa dziewczyna kocha mię i o innego nie stoi, ale widzi pan brat jest inna kwestja i to ważna. Wyczytałem w *Gazecie Polskiej* że kto się ożeni w 25-ym roku życia, to będzie 11 lat dłużej żył, to nie bagatela, a ja w Lipcu kończę 25, nie ma więc co czekać.

STARSZY. No, no, pierwszy raz słyszę, a to znowu, pokaż no gazetę, gdzież to jest?

MŁODSZY. O.... o..... niech pan brat patrzy, czarne na białem,—a co? zmyślam?

STARSZY. Tak, ale widzisz braciszku tu wyraźnie mowa jest o Szkocji a nie o Polsce, u nas to po większej części, nos na kwintę spuszcza i prędko się starzeje.

MŁODSZY. Może odtąd już tak nie będzie, co skodzi spróbować?

STARSZY. Ha! próbuj, szczęść ci Boże.

Od Redakcji.

Zapowiadając w Numerze poprzednim dalsze wychodzenie w kwartale III-m pisma naszego, zapomnieliśmy nadmienić: że wszyscy nowi prenumeratorowie z prowincji za udowodnieniem, otrzymają *bezpłatnie* wszystkie N-ra poczynając od 8-go, w którym rozpoczętą została powieść „*Dziwni ludzie*,” i że wszyscy bez wyjątku prenumeratorowie mają prawo do otrzymania za *pół ceny* wszelkich dzieł nakładem Redakcji Gazety Rolniczej wydanych. Wpierwszym jednak i drugim razie, należy się zgłaszać wprost do Redakcji *franco* przy ulicy Solnej Nr 715 w Warszawie.

Koniec Kwartału II-go roku 1867.

w Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowej—Redaktor: ADAM MIECZYŃSKI.